MIT MAŁEGO MIASTA

MACIEJ CHOLEWA

Granice Małego Miasta nie są wyraźne. Zacierają się w miejscu, gdzie ostatnie domy o sześciennych formach, pokrytych styropianowym ociepleniem i drobnymi kamykami, ustępują miejsca polom, sztucznie utworzonym lasom i sadom. Nie wiadomo, czy nieliczne budynki ingerują w przyrodę, czy to ona pochłaniała bardziej zurbanizowane tereny. Położenie geograficzne sprzyja miastu, które przenika się z naturą i doskonale w niej kamufluje.

Również mieszkańcy ukryci w jego wnętrzu pozostają niewidoczni dla zewnętrznego obserwatora. Unikają niebezpieczeństw czekających za niewidocznymi granicami, a większość z nich już dawno zapomniała o świecie istniejącym poza jego obrębem. Możliwe, że inny świat w ogóle nie istnieje. Pozwalają wchłonąć się miastu oraz otaczającej go naturze, stając się jego integralną częścią, współtworząc złożony i szczelny organizm.

Najważniejszy budulec miasta stanowi beton. Z niego odlewane są kostki brukowe, wchodzące w skład nieregularnej struktury chodników, tracących formę po pierwszej zimie po ich położeniu. Betonowe są również toporne kosze na śmieci oraz przypominające je donice

na kwiaty, które są z nich sukcesywnie wyrywane. Rzędy betonowych domów naśladują pasy żywopłotów przyciętych w kształt sześcianu, otoczonych pobielonymi i nierównymi krawężnikami. Z betonu i jego mieszanek składają się także dworzec kolejowy, trzy mosty, szkoły, przedszkola oraz cmentarz z nagrobkami reprezentującymi przekrój wszystkich istniejących typów lastryko. W samym środku osiedla pomalowanego na pastelowe kolory przytłumione warstwą pyłu wytwarzanego przez stare samochody znajduje się czerwono-biały komin ciepłowni. Przypomina on pień wysokiego drzewa o koronie z chmury białej pary, która często zakrywa całe niebo nad Małym Miastem. Kiedy ciepłownia nie pracuje, niebo nabiera jasnoszarej barwy. Barwy świeżo zastygłego betonu.

Tkanka miejska nieustannie się porusza – oddycha, więc beton kruszeje, a na ścianach domów i sklepów pojawiają się siatki drobnych pęknięć, zamalowywanych kolejnymi warstwami gęstej farby. Kiedy betonowy obiekt traci swój kształt i staje się niezgodny z wcześniejszym przeznaczeniem, trafia na gruzowisko, gdzie zostaje rozdrobniony i wymieszany ze żwirem, żeby w odpowiednim czasie znaleźć ponowne zastosowanie jako cokół kolejnego domu albo fundament pod nową ścieżkę rowerową.

Dzięki tak przemyślanemu obiegowi materii Małe Miasto nie pomniejsza się, a liczba komórek w jego ciele pozostaje stała. Kiedy w jednej dzielnicy powstaje nowy dom, w innej dochodzi do naturalnej erozji schodów, ławek lub całych budynków. Wewnętrzny obieg materialny dotyczy również innych komórek Małego Miasta – jego mieszkańców. W mieście znajdują się przeznaczone dla nich dwa kościoły służące rozwojowi wewnętrznemu – mieszkańcy Małego Miasta postrzegają siebie jako obywateli uduchowionych i prawowitych. Rozwojowi służy również szkoła o ogólnym profilu kształcenia oraz centrum kultury, nad którym każdego roku organizuje się pokaz fajerwerków, możliwych do zobaczenia tylko w obrębie kilku przecznic.

W centrum miasta ulokowany jest mały rynek, a na nim supermarket stanowiący dwie trzecie jego powierzchni, oraz fontanna wykonana z mieszanki lastryko i granitu, dumnie oświetlona po zmroku. W obrębie miejscowości znajduje się również osiem piekarni pracujących bez ustanku, żeby zapewnić mieszkańcom podstawę ich diety; księgarnia, w której można kupić wyłącznie podręczniki szkolne oraz rakietki do ping-ponga, zakład ubezpieczeniowy (na wszelki wypadek), mała fabryka mebli, kilka warsztatów o szerokiej specjalizacji, złomowisko oraz oczyszczalnia ścieków. Wszystkie te instytucje zapewniają mieszkańcom pracę i warunki do spokojnego, pracowitego i stabilnego życia, które sobie bardzo cenią.

Kiedy obywatel-ojciec wkracza w wiek emerytalny, jego pracę przejmuje obywatel-syn. Z kolei po śmierci ojca, który zamienia swój sześcienny dom na sześcienny nagrobek, syn dziedziczy jego mieszkanie, które posłuży za miejsce do życia dla nieskończonej liczby kolejnych pokoleń. Odstępstwa od tradycji oraz niepisanych reguł obowiązujących w Małym Mieście nie są tolerowane, a wszelkie przejawy buntu są tłumione, zanim rozwinie się on na tyle, żeby pociągnąć za sobą określoną liczbę osób potrzebnych do zaburzenia integralności. Z powodu silnych reakcji immunologicznych, zwalczających groźne czynniki zewnętrzne, wniknięcie do tkanki miasta jest trudne. Betonowe oko nieustannie czuwa nad mieszkańcami.

Herb miasta odlano z betonu. Waży kilkaset kilogramów. Jest ciężki i przytłaczający.

Święta

Małe Miasto ma niezwykle rozległy i skomplikowany układ, w którym krążą najważniejsze substancje pozwalające podtrzymać jego funkcje życiowe. W skład struktury wchodzą m.in. drogi i chodniki, po których poruszają się mieszczanie, czy sieci elektryczne oraz telekomunikacyjne odpowiadające za komunikację wewnętrzną i rzadziej zewnętrzną. Istotną część układu stanowią również rury kanalizacyjne, odpowiadające za odprowadzanie i doprowadzanie ważnych składników oraz ich przenoszenie, kiedy tylko zachodzi taka potrzeba.

Smród stęchlizny i rozłożonych resztek nie przeszkadzał mężczyźnie. Kanał pozostawał zamknięty, więc jego wnętrze było duszne i wilgotne. Zapewniało dużo ciepła. W ciemności i niezmiennym klimacie trudno ustalić czas, odróżnić porę dnia czy roku. Trudno zapamiętać swoje imię, bo czas i imię pod ziemią nie mają żadnego znaczenia i niczemu nie służą. Kanał jest bardzo wąski, nie ma sensu się w nim poruszać. Stanowi idealne schronienie przed światem zewnętrznym.

Mężczyzna siedział w jego ciasnym wnętrzu od dawna. Nie myślał. Oddychał powoli i trwał. Jedynym śladem zdradzającym jego obecność było gorące powietrze wydobywające się pod postacią pary z wnętrza nieszczelnej studzienki kanalizacyjnej, która znajdowała się na uboczu małego blokowiska nieopodal pokopalnianej hałdy.

Miejsce to stanowi niezmienny punkt spotkań lokalnej społeczności. W ciepłe dni organizuje się tam ogniska, pije alkohol i wypala miedziane kable. W zimie hałda zmienia się w wielką ślizgawkę, na której bawią się młodzi ludzie z pobliskiego osiedla. Ich rodzice nie mają pieniędzy, więc chłopaki zjeżdżają na zderzakach samochodowych, workach na śmieci i starych gumolitach. W przerwach pomiędzy kolejnymi zjazdami solidarnie dzielą się papierosami i piwem. Często przeklinają i spluwają na ziemię łupinkami słonecznika. Niezmienne tematy ich rozmów stanowią: lokalny klub sportowy, bójki i ciężar młodzieńczej egzystencji miażdżonej przez chorobę alkoholową członków ich stopniowo malejących rodzin. Pomimo trudnej sytuacji materialnej często się śmieją. Ofiarami drwin i żartów padają zazwyczaj osoby bezbronne i biedniejsze od nich samych, ulokowane na samym dnie drabiny społecznej, zmuszone do przeszukiwania śmietników, zbierania puszek i niedopałków papierosów. To, co wynieśli ze swoich niespokojnych domów, przenoszą na osoby słabsze. Młodzież obchodzi się z nimi bezwzględnie, a więc tak, jak była od zawsze traktowana.

Jest 24 grudnia. Mroźny, wigilijny poranek. W powietrzu unosi się zapach kapusty z grochem, wymieszanej ze smrodem śmietników wypełnionych zakrwawionymi rybimi łbami najróżniejszych gatunków. Dzwony biją głośniej niż zawsze, a na niektórych balkonach widać migające światełka, gwiazdy betlejemskie i mikołaje w różnych wariantach: w postaci kukieł wspinających się po kominach, brodatych figurek dzwoniących dzwonkami i płaskich ozdób przedstawiających moment powożenia zaprzęgiem plastikowych reniferów.

Okoliczni chłopcy zbierają się wokół studzienki kanalizacyjnej i czekają na skromną kolację wigilijną, która najpewniej skończy się rodzinną libacją. Śmieją się i piją tanie piwa. W pewnym momencie wpadają na pomysł, żeby odsunąć wieko kanału. Wiedzą, że w jego wnętrzu znajduje się człowiek. Sikają do środka, wrzucają puste puszki i butelki. Krzyczą i zachęcają mężczyznę do odpowiedzi, której nie otrzymują. Brak reakcji bardzo ich denerwuje, jednak żaden z nich nie odważy się zejść w ciemną otchłań kanału, z którego wydobywa się intensywny smród.

W czasie powrotu do domu jeden z chłopców znajduje na śmietniku choinkę. Nie ma igieł, ale nosi pozostałości zeszłorocznych świąt. Chłopcy wracają w okolice studzienki i przypominają sobie dawno nieużywane imię mężczyzny.

– Mareczek, mosz świynta! – krzyczą i wrzucają do kanału zniszczone, świąteczne drzewko, po czym śmiejąc się głośno, zamykają właz studzienki i rozchodzą się do domów, gdzie nie czekają na nich żadne prezenty.

Mareczek nie reaguje na swoje imię ani na żarty chłopców. Nie reaguje też na pozostałości choinki, która wylądowała pod jego nogami. Nie czuje zapachu kanału i nie widzi ciemności, która go otacza. Od niedawna jego ciało powoli rozpuszcza się w sieci kanalizacyjnej i wnika w krwiobieg Małego Miasta, wobec którego wszyscy obywatele są równi.

Miasto w osłupieniu

Na środku niestarannie wybrukowanego chodnika w samym centrum stoi potężny, betonowy słup. Jest wyższy niż większość otaczających go domów, a zwężający się ku górze wierzchołek nadaje mu obrazoburczą formę przywołującą skojarzenia z monstrualnym obeliskiem. Szczególną grozę wywołuje nocą i w mgliste poranki, kiedy niespodziewanie wyłania się przed niczego niepodejrzewającymi pieszymi. Jego umiejscowienie przeszkadza mieszkańcom, którzy są zmuszeni do przeciskania się pomiędzy nim a jezdnią, co jest niewygodne, a czasami nawet niebezpieczne.

Obiekt nie jest odosobnionym przypadkiem. Poza wieżą kościoła oraz kilkoma niewysokimi blokami wybijającymi się nad horyzontalnym planem miasta szczególną uwagę przyciąga wyjątkowo gęsta struktura słupów telekomunikacyjnych, oplecionych setkami kilometrów kabli przecinających niebo nad głowami mieszkańców. Wbijają się w nierówno wybrukowane chodniki, wysokością konkurując nawet z najwyższymi drzewami. Pojawiają się w nieregularnych odstępach czasowych i w wielu różnych wariantach: okrągłe, przypominające betonowe pnie; sześciokątne, masywniejsze niż ich okrągłe odpowiedniki; węższe, o zimnym, nieprzyjemnym odcieniu, oraz ażurowe, do złudzenia przypominające klasyczne lampy uliczne.

Nikt nie pamięta, kiedy zauważono je po raz pierwszy. Mieszkańcy przyzwyczaili się do nich, chociaż zdarza się, że przysparzają im wielu problemów. Słup, który wyrósł na środku rynku, blokuje wjazd do bramy przed sklepem spożywczym, tym samym uniemożliwiając dostawy nowych produktów. Następny zasłania kapliczkę postawioną przy terenie całodobowej stacji paliwowej. Największy stoi naprzeciwko futurystycznego kościoła pomalowanego na brudnoróżowy kolor, a jego cień pada wprost na krzyż znajdujący się na środku dachu. Jednak część z nich uważa się za całkiem przydatne obiekty. Do słupa stojącego naprzeciwko wejścia do księgarni mieszkańcy przypinają swoje psy i rowery. Niektórzy twierdzą również, że są estetyczne i tworzą piękny, betonowy las.

Większość mieszkańców jest usatysfakcjonowana swoim życiem we wnętrzu miasta. Cenią spokój, więzi rodzinne i dobre relacje z sąsiadami. Nie przeszkadza im nuda i ciężko wypracowana rutyna. Dzięki nim są bezpieczni i nie odczuwają żadnej potrzeby zmiany miejsca ani swoich przyzwyczajeń. Każdego z nich łączy z miastem nierozerwalna więź, którą można sobie wyobrazić jako bardzo elastyczną linę wykonaną z gumy. Dzięki temu, że lina jest rozciągliwa, mieszkańcy nie mają żadnych problemów z przemieszczaniem się w obrębie miasteczka.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja tych, których żądzy przygód nie są w stanie zaspokoić telewizja czy spacery po parku miejskim. Tacy obywatele to rzadkie przypadki, ale kiedy w końcu decydują się na wyjazd i poszukiwanie wrażeń poza miastem, lina niebezpiecznie się napina. Jest rozciągliwa, wytrzymuje podróże do innych miejscowości czy dalekich krajów.

Miasto pozwala żyć mieszkańcom poza swoimi granicami nawet przez wiele lat i nigdy nie traci z nimi więzi. Ale wystarczy krótka chwila i nieuważni podróżnicy zostają przyciągnięci z powrotem do ciała miasta. Oszołomieni spoglądają przed siebie i ponownie widzą je dokładnie takim, jakie zapamiętali z przeszłości. Idealnie horyzontalne, składające się z masy betonu, styropianu, plastiku, reklam i roślinności. Szybko się przyzwyczajają. A kiedy w pełni godzą się ze swoim losem, stają się słupami i już nigdy nie opuszczają granic miasta.

Małe Miasto nie lubi tracić swoich komórek.

Zła ulica

Wzdłuż nieformalnej granicy wytyczonej przez nieczynne torowisko i porastającą je roślinność ciągnie się ulica Zła. Po jej obu stronach faluje chodnik zdeformowany ciężarem samochodów i dziesiątek latarni powbijanych w zupełnie przypadkowych miejscach. Jest otoczona szeregiem domów i kamienic, klasycznie obłożonych pękającym tynkiem zmieszanym z grysem lub modniej – ocieplonych przybrudzonymi płatami styropianu. Nie wyróżnia się na tle innych ulic. Jest tak samo szara i nierówna jak cała reszta miejskiej infrastruktury drogowej. A jednak mieszkańcy unikają jej, a kiedy są zmuszeni przejść przez skrzyżowanie, które przecina, ściszają głos i szepczą.

Szepczą, że kiedy pada deszcz, ulica spływa krwią.

Czerwiec
Temperatura: 27°C
opady: 0,3 mm

Niebo jest lekko zachmurzone, a na ulice spadają pojedyncze krople deszczu, jednak T. i reszta członków jego rodziny tego nie zauważają. Po udanym przyjęciu urodzinowym jednogłośnie postanawiają wybrać się nad pobliski zalew, znajdujący się tuż za granicami Małego Miasta. Chwiejnym krokiem, podpierając się wzajemnie, zmierzają w stronę wysłużonego, bordowego Tico stojącego na krawężniku ulicy Złej. Mają do dyspozycji dwa samochody, jednak żeby zaoszczędzić, podejmują próbę wepchnięcia siedmiu osób do tylko jednego z nich. T. pomaga bratu wejść do bagażnika, potem wraz ze swoją dziewczyną zajmują fotel obok kierowcy. Cała sytuacja niezmiernie bawi mamę T., która siada na podniszczonej kanapie z tyłu samochodu. Obok niej sadowi

się rosła ciotka, którą z powodu ciasnoty sytuacja bawi mniej, oraz leciwa babcia, nie do końca zdająca sobie sprawę z miejsca, w którym się znajduje.

Tata T. dopycha drzwi ze wszystkich stron i pośpiesznie wsiada do samochodu. Jednocześnie odpala silnik i papierosa. Samochód rusza, a T. pogłaśnia radio i wraz z całą rodziną na całe gardło wyśpiewuje piosenkę o ciepłym lecie, w którym trochę padało i podczas którego piło się dużo alkoholu. Tekst utworu przypomina tacie o piwach ukrytych w schowku pod fotelem specjalnie na tę okazję, co wzbudza powszechny entuzjazm. W następnych sekundach daje się słyszeć charakterystyczne syczenie otwieranych puszek. Jedna z nich wypada z rąk babci T. i ląduje na tapicerce z przodu samochodu. Rodzina zaśmiewa się z fontanny alkoholu zalewającego samochód. Piwo spływa po fotelach i ubraniach pasażerów. Kilka kropel trafia na podobiznę św. Krzysztofa doczepionego do różańca i pluszowej kostki do gry kołyszących się przy lusterku.

Samochód mija rondo, skręca w stronę pokopalnianej hałdy i nieczynnego szybu, następnie przejeżdża obok jedynego w mieście, rzadko odwiedzanego zajazdu. Od wylotu ulicy Złej do zalewu jest już bardzo blisko – tylko kilka kilometrów.

Rozochocony alkoholem ojciec wciska pedał gazu najmocniej, jak tylko potrafi. Chociaż w samochodzie jest duszno i ciasno, rodzina bawi się wspaniale do momentu, kiedy prawe koło wpada do studzienki kanalizacyjnej, której wieko zostało skradzione i sprzedane na złomowisku poprzedniego wieczora. Dziewczyna T. podskakuje i z całym impetem ląduje na brzuchu ojca, który puszcza kierownicę. Samochód skręca w stronę krawężnika. Następuje gwałtowne uderzenie, auto obraca się w ułamku sekundy, z ogromną prędkością ścina wiatę przystanku i wbija się w stojący za nim mur. Przeciążenie jest spore, więc w momencie zdarzenia skulona dziewczyna T. waży dwie tony. Jej głowa z łatwością wybija szybę i roztrzaskuje się na betonowej ścianie. Siedzący w bagażniku brat T. wpada do wnętrza samochodu, najpierw łamiąc kręgosłup matki, potem wgniatając swoją głowę w czaszkę ojca. Samochód zmniejsza swoją objętość, a część dachu przebija płuco i serce babci.

Wszyscy giną w przeciągu kilku sekund. Poza samym T. Wypadł z samochodu zaraz za swoją dziewczyną, jednak jej miękkie, pulchne ciało zadziałało jak poduszka powietrzna i zamortyzowało siłę uderzenia. Oszołomiony mieszanką bólu i alkoholu wije się na trawniku przed murem i powoli czołga w stronę ulicy. Pierwszy świadek dobiega do niego i próbuje go podnieść, jednak T. go odpycha. Kiedy nadjeżdżają karetka i radiowóz, udaje mu się uklęknąć na środku ulicy. Jego mięśnie napinają się, a do oczu napływają łzy. Świadkowie szepczą, że w błagalnym geście wzniósł ręce w górę i nieludzkim głosem wykrzyczał:

– Cymu jo!?

Nikt nie wiedział czemu. Za to właściciele zajazdu przyjmujący kolejnych reporterów i specjalistów z miejsca zdarzenia byli pewni, że jeszcze nigdy nie mieli tylu gości.

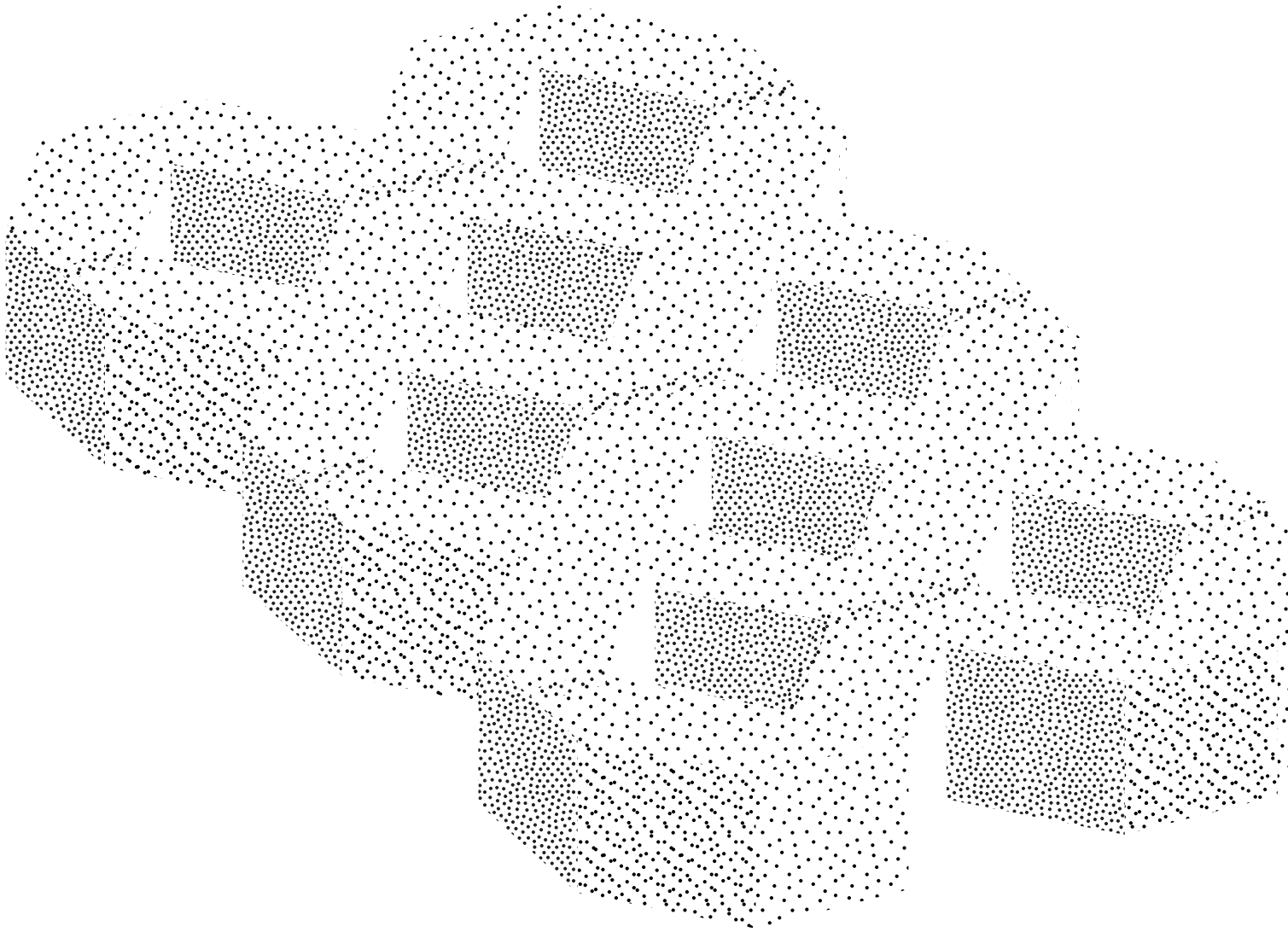

Wrzesień
Temperatura: 20°C
Opady: 3,3 mm

Mieszkańcy zazdrościli S. jego pracy. Piękny mundur, prestiż i wyjazdy na akcje – jak w amerykańskich filmach. On sam nie podzielał ich zdania. Praca była słabo płatna, wiązała się z dużą liczbą nadgodzin i sporym ryzykiem zawodowym. Poczucie misji wypaliło się w nim zaledwie kilka lat od rozpoczęcia kariery strażaka. Kredyt wzięty na przydomową dobudówkę dla stale powiększającej się rodziny zaprzepaścił wszelkie marzenia o znalezieniu innego zajęcia.

Początek roku szkolnego zbiega się z wielką ulewą i dzieci mają podwójny powód do narzekania. S. wstaje do pracy dwie godziny przed nimi. Z ponurą miną odprawia codzienne, poranne rytuały, po czym pośpiesznie zakłada kurtkę. Jak co dzień nie udało mu się dokończyć śniadania i przeczytać wiadomości w smartfonie. Podenerwowany kuli się pod kapturem w strugach deszczu, z bułką w jednej ręce i kluczami w drugiej. W końcu wsiada do samochodu i już po chwili zmierza w stronę położonej nieopodal remizy.

Perspektywa codziennego znoju przygnębia go nie mniej niż kanapka, która spada na jego nowe spodnie i brudzi je twarożkiem i dżemem. Co gorsza, po chwili słyszy świdrujący dźwięk dzwonka swojego telefonu służbowego. Wszystkie jednostki zostają skierowane do kolejnego wypadku na ulicy Złej. Żartuje sobie w myślach, że straż powinna przenieść tam swój oddział, po czym gwałtownie skręca w stronę miejsca przeznaczenia.

Jedzie bardzo szybko, ale pomimo pewności siebie po chwili zwalnia. Przecież nie ma sensu ryzykować, kiedy w domu czeka na niego cała rodzina, której musi zapewnić utrzymanie.

Ściana deszczu staje się coraz gęstsza, ogranicza widoczność do zaledwie kilkudziesięciu centymetrów. Boi się, ale wie, że jest potrzebny na miejscu zdarzenia. Niejednokrotnie zdarzyło mu się przybyć w ostatnim momencie. Nieraz wyciągał na wpół żywych ludzi z wnętrz samochodów zgniecionych jak aluminiowe puszki po piwie.

W mieście był uważany za bohatera, więc czuł się zobowiązany do bycia nim. W końcu przyśpiesza. Trasę zna na pamięć. W ściszonym radiu słyszy wiadomość o wypadku na Złej. W momencie kiedy redaktor wyjaśnia jego przyczynę, zauważa światła pojazdu jadącego z naprzeciwka wprost na maskę jego samochodu. Nie ma czasu na ostatnią myśl. Odruchowo skręca, wpada w poślizg i z dużą prędkością przebija barierki zabezpieczające, po czym wpada do rowu, płytkiej rzeki, gdzie jego ciało zostanie odnalezione kilka godzin później.

Nie. To niemożliwe.

Przecież nie ma sensu ryzykować, kiedy w domu czeka na niego cała rodzina, której musi zapewnić utrzymanie. – Ale właściwie jakie utrzymanie? – myśli. Przecież pomimo ciężkiej pracy ledwo wiążą koniec z końcem. Żeby wysłać dzieci na kolonie, S. sprzedał swoją ukochaną gitarę i większość płyt z kolekcji. Jego żona, od wielu lat przytłoczona ciężarem choroby zwyrodnieniowej, nie radzi sobie z podstawowymi czynnościami. Zdarza się, że S. dorabia na budowie.

Po skończonej pracy nie jest w stanie myśleć. Nie przypomina sobie, kiedy ostatnio wyszedł ze znajomymi. Jego myśli są adekwatne

do pogody za szybą samochodu. Nagle uśmiecha się i gwałtownie przyśpiesza. Licznik wskazuje 120 km/h. Maksimum, jakie może osiągnąć jego mały samochód. Z dużą prędkością zbliża się do zakrętu prowadzącego do ulicy Złej, jednak nie skręca. Już nigdy więcej nie wykonuje żadnego ruchu.

Samochód z całym impetem przebija barierki, dachuje i z głuchym hukiem wpada do rowu, którym płynie brudna rzeka przecinająca Małe Miasto. Krew z rozbitej głowy miesza się z deszczem i wodą z rzeki.

Mówi się, że wdowa po S. otrzymuje dużą rentę po mężu strażaku i teraz stać ją na drogie ubrania i nowy samochód. Podobno już sobie kogoś znalazła. Na ulicy nikt nie odpowiada na jej przywitania, bo to na pewno ona namówiła S., żeby się zabił podczas jazdy na akcję.

Tak szepczą mieszkańcy ulicy Złej.

Listopad
Temperatura: 5°C
Opady: 1,2 mm

Twarz T. odbija się w felgach prawie nowego, sportowego audi. Nie może uwierzyć, że wystarczył rok pracy w Norwegii, żeby jego koledze udało się uzbierać wystarczająco dużo pieniędzy na taki wóz. Zachwycony analizuje każdy szczegół samochodu i z uwagą wysłuchuje opowieści o trudnych warunkach panujących w hurtowni ryb. Trud się opłacił. Auto robi ogromne wrażenie. Czerwony lakier błyszczy jak w reklamach, a wnętrze pachnie świeżością i skórzaną tapicerką. Ograniczenie do 240 km/h jest tylko umowne. Przynajmniej tak uważa kolega, bo na autostradzie jechał ponad 300 km/h, chociaż czuł, że może jeszcze więcej, i tylko wspomnienie o dziewczynie czekającej w domu powstrzymało go od wypróbowania prawdziwej mocy samochodu.

T. wraz z pozostałymi oglądającymi samochód jest trochę zazdrosny, ale cieszy się szczęściem kolegi, zwłaszcza dlatego, że ten zaprasza wszystkich do baru. Dziś będą bawili się na jego koszt. Po kilku piwach T. zaczyna snuć plany o swoim wyjeździe i rzeczach, które kupi za zarobione pieniądze. Wyobraża sobie minę swojej mamy, kiedy podjeżdża pod dom na nowym ścigaczu, a potem odwiesza do szafy drogą, skórzaną kurtkę. Chłopcy z niedowierzaniem słuchają opowieści o obcym kraju, gdzie powietrze jest zawsze krystalicznie czyste, a piękne jeziora otaczają wiecznie zielone łańcuchy górskie, na których stoją drewniane domki ze spadzistymi dachami porośniętymi urokliwą trawą.

Wszyscy razem planują wyjazd na początku przyszłego roku. Nie znają obcego języka i trochę boją się opuszczać granice Małego Miasta, ale barwne opowieści o świetnych warunkach robią na nich wielkie wrażenie. Po kilkugodzinnym posiedzeniu w barze chłopcy czują się trochę zmęczeni. Natychmiast rozbudza ich propozycja przejażdżki samochodem, który dotychczas oglądali jedynie na pulpitach swoich komputerów. T. nie podoba się ten pomysł. Wszyscy są pijani, nie ma sensu ryzykować spotkania z policją. Lepiej poczekać do jutra, spotkać się raz jeszcze i wtedy na spokojnie porozmawiać o niezwykłych osiągach potężnego silnika. Właściciel auta zapewnia, że wypił tylko kilka piw, na dodatek kilka godzin wcześniej, więc na pewno jest już trzeźwy. Przecież nigdy nie wsiadłby do auta po pijaku. T. przyznaje mu rację i już po chwili wszyscy razem ruszają w stronę parkingu supermarketu znajdującego się nieopodal.

Kierowca zaczyna swój popis. Ścina zakręty, z piskiem opon obraca samochodem to w jedną, to w drugą stronę. Ślizga się po gładkiej powierzchni betonu, zostawiając na nim rysunki ze śladów startych opon. Pasażerowie są zachwyceni. Ustawiają przeszkody z wózków sklepowych, które samochód omija bez najmniejszego problemu. W końcu namawiają kierowcę, żeby zaprezentował maksymalną prędkość, jaką może rozwinąć jego nowy samochód. T. jest trochę niedobrze. Boi się. Uważa, że przesadzają i powinni już jechać do domu. Kierowca śmieje się z niego, ale na wszelki wypadek podwozi go do domu. Lepiej, żeby nie zabrudził tapicerki. T. chwiejnym krokiem oddala się w stronę bloku przypominającego obudowę starego, podniszczonego komputera.

Samochód jedzie z coraz większą prędkością. Kierowca znajduje w końcu odpowiedni odcinek i rozwija prędkość do ponad 240 km/h. Chłopcy są zachwyceni, krzyczą i gwiżdżą z radości. Jeden wysuwa głowę przez szyberdach. Samochód jedzie tak szybko, że do oczu napływają mu łzy. Nagle kierowca dostrzega zwierzę przebiegające drogę i gwałtownie hamuje, zostawiając za sobą długie ślady hamowania. Traci kontrolę nad pojazdem i przy prędkości 200 km/h wjeżdża na chodnik, na którym urywa zawieszenie. Miażdży barierkę ochronną i z impetem uderza w betonowy kosz na śmieci, który ląduje kilkanaście metrów dalej. W końcu natrafia na ścianę domu porośniętego pajęczyną winorośli, która o tej porze roku nie ma już liści. Licznik zatrzymuje się na 160 km/h. Huk uderzenia słychać w całym mieście. Słyszy go również T., który jeszcze się nie domyśla, co to było.

Mieszkańcy obudzeni potężnym wstrząsem wybiegają z domów wprost na miejsce wypadku. Widząc skalę zniszczeń, jedna z osób wymiotuje na chodnik. Samochód wygląda jak sprasowany kawałek folii aluminiowej. Czerwony lakier miesza się ze ściekającą po murze krwią chłopców. Uderzenie zgniotło ich ciała, zbijając je w jedną czerwoną masę kości i tkanek. Po ustaleniu tożsamości rozdzielą je dopiero patolodzy.

T. bardzo często odwiedza ich groby.
Przestał myśleć o wyjeździe za granicę.

Problemy z zielenią

Dzięki wnikliwej obserwacji Karol Darwin odkrył szereg reakcji na bodźce u wzrastających roślin. Wymyślił prostą metodę zapisu wysublimowanych, cyklicznych ruchów, jakie wykonują ich wierzchołki, łodygi oraz liście tworzące własnym tempem rysunkowy dowód swojego wzrostu. Późniejsze badania dowiodły istnienia roślinnych zmysłów. Ich receptorów wzroku, reakcji na dotyk, a nawet sposobów wzajemnego porozumiewania się.

Rysunki przypominały delikatną siatkę pęknięć, jakie zimą pojawiają się na zamarzniętym jeziorze lub na pękającym tynku. Takie szczeliny w strukturze betonu stanowią realny problem dla miasta i jego mieszkańców. Wraz z nadejściem każdej kolejnej wiosny wspólnymi siłami prowadzą trudną, często nierówną walkę o przetrwanie i oparcie się wchłonięciu przez bezlitosne siły natury napierające ze wszystkich stron miasta. Problemy z zielenią denerwują mieszkańców. Działanie roślin jest wyjątkowo ofensywne. Korzenie drzew przekraczają wyznaczone dla nich granice, starają się przebić przez chodniki, a z powodu tworzących się wybrzuszeń utrudniają poruszanie się po ich powierzchni. Zasiewają szczeliny i wykorzystują każdą nierówność miejskiej struktury. Nie licząc się z żadną świętością, rozsadzają płyty cmentarnych nagrobków, oplatają druciane ogrodzenia i porastają ściany domów. Zatykają rynny, niszczą ogródki i zniekształcają sześcienne formy żywopłotów.

Cechują się znakomitą znajomością psychologii swoich wrogów, a skuteczną działalnością dywersyjną zaburzają wewnętrzną integralność miasta. Poprzez nadmierne rozrastanie się gałęzi drzew owocowych, które przekraczają granice podwórek i zrzucają owoce na sąsiednie trawniki, doprowadzają do kłótni, a nawet rozwiązań siłowych. Zdarza się, że roślinność przejmuje teren, na którym stoi opuszczony budynek. Porasta go i kruszy od środka, aż w końcu całkowicie pochłania. Zasiewa pole bitwy i włącza je do swojego nieśmiertelnego ciała. Wtedy miasto przegrywa bitwę.

Ale nie jest całkiem bezsilne.

Wie, że organizmy roślinne potrzebują do zapewnienia prawidłowego rozwoju kwantów światła, zazwyczaj dostarczanego przez słońce. Stara się więc dopuszczać na swój teren jak najmniej promieni, uruchamiając skomplikowany mechanizm zasnuwania nieba gęstą warstwą dymu wypuszczanego przez domowe kominy. Ciężkie, ołowiane sklepienie otula je szczelną warstwą, przepuszczając jedynie śladowe ilości światła. Rośliny zostają pokryte patyną smutnej szarości. Zieleń, o niezliczonej ilości odcieni, przeciwko jednemu, właściwemu kolorowi miasta.

Mieszkańcy łączą swoje siły i rokrocznie odprawiają rytuały związane z pedantyczną pracą nad swoimi ogródkami i podwórkami. Wybujałe krawędzie żywopłotów na powrót nabierają ostrych kształtów, chwasty wystające z chodników zostają wyrwane, trawa jest regularnie koszona. Nawet mech znajdujący się na murach zostaje usunięty przy pomocy myjki ciśnieniowej.

Po miesiącach ciężkiej walki obie strony zawierają długo wyczekiwany rozejm, a miasto i jego mieszkańcy udowadniają, że betonowe ciało może stać się równoprawną częścią skomplikowanego układu biologicznego. Natura daje się okiełznać i godzi się na upiększenie miejscowości, a ta pozwala jej czerpać soki ze swoich mieszkańców. Przez krótki okres żyją ze sobą w pełnej symbiozie. Powszechna szarość przybiera wtedy odcień delikatnej, zgniłej zieleni. Wraz z początkiem każdego kolejnego roku powtarza się odwieczny cykl.

Mieszkańcy znowu narzekają na zieleń.

Historia Grzybiarza

Lekcja zapowiadała się nieciekawie. Po kilku godzinach zajęć trwających od wczesnego ranka uczniowie byli zdekoncentrowani i zmęczeni. Trudno było im się skupić na skomplikowanych zagadnieniach związanych z biologią i chemią organiczną. Doktor nauk ścisłych z entuzjazmem oznajmił, że będzie poruszał również tematykę podstaw gleboznawstwa. Podkreślił, że cały materiał jest bardzo ważny i wymaga powtórzenia w domu, co pozwoli sprawdzić niezapowiedziana kartkówka na którejś z przyszłych lekcji.

Po sali rozszedł się szmer niezadowolenia, a niektórzy uczniowie mogliby przysiąc, że zapowiedź kartkówki została wypowiedziana z sadystyczną radością i ironicznym uśmieszkiem, bardzo charakterystycznym dla doktora, który jak większość innych wymagających nauczycieli nie cieszył się zbyt dobrą opinią wśród podopiecznych. Wykładowca poprosił o zasunięcie żaluzji i nieudolnie zaczął uruchamiać prezentację komputerową, co naturalnie zakończyło się kilkoma parsknięciami w różnych częściach sali. Kiedy operacja się udała, rozpoczął prezentację. – Metale ciężkie znajdujące się w glebach mogą pochodzić z kilku źródeł. Nas interesują źródła naturalne oraz antropogeniczne – oznajmił jednostajnym głosem, a podopieczni wiedzieli, że przetrwanie lekcji może być trudniejsze niż zwykle i część z nich ukradkiem wbiła wzrok w ekrany swoich telefonów komórkowych. – Desorpcja termiczna jest jedną z najlepszych metod remediacji gleb zanieczyszczonych metalami ciężkimi. Jej zastosowanie prowadzi do... – nagle przerwał i zdenerwowany krzyknął w stronę chłopca ryjącego cyrklem tajemniczy napis z boku ławki wykonanej z najtańszej sklejki wiórowej, strukturą przypominającej tani wafel.

– Co przed chwilą powiedziałem?! – chłopiec nie był pewien.

– Coś o repatriacji? Skąd mam wiedzieć, nie wiem no – nauczyciel westchnął.

Była to jedna z tych chwil, ostatnio coraz częstszych, kiedy zastanawiał się nad sensem swojej pracy.

– Uwaga. Masz uwagę. Będziesz odpowiadał na początku przyszłej lekcji – oznajmił zrezygnowany i wrócił do kontynuowania wykładu. – Istnieją organizmy, które zawierają w sobie cechy roślinne, nie będąc nimi. Mowa tu o grzybach, wielkich reducentach i końcowym etapie łańcucha pokarmowego. Niektóre z nich są w stanie pochłonąć duże ilości ołowiu wraz z innymi składnikami znajdującymi się w pozornie martwej substancji organicznej. Stają się tym samym zagrożeniem dla potencjalnych zbieraczy. Pewnie część z was wie, że zajmuję się badaniem gleb metalonośnych, które występują również na terenie naszego miasta. Całkiem niedawno doszedłem do zaskakujących wniosków, którymi chętnie podzielę się z osobami starającymi się o szóstkę. – kilkoro gorliwych uczniów w pierwszych ławkach gwałtownie uniosło ręce. Bardzo mocno zależało im na wyróżnieniu, z którego ich rodzice będą niezmiernie dumni.

Naukowiec kontynuował wykład, kiedy kolejni uczniowie wybiegali myślami zdecydowanie dalej niż okoliczne pola pełne gleby zawierającej trujące substancje. Widząc to, postanowił spróbować rozładować ciężką atmosferę anegdotą.

– W mieście występuje wiele gleb metalonośnych porośniętych grzybami. Swego czasu poznałem pewnego zbieracza, który za nic miał moje ostrzeżenia o szkodliwości metali zawartych w glebie. Uważał, że wystarczy odpowiednio przyrządzić zebrane okazy, aby pozbawić je trującej zawartości. Śmiał się i zbywał wszystkie argumenty. Mawiał, że „to się wygotuje" i że mam się nie martwić. A to przecież oczywiste, że ołów i kadm pozostają w grzybach i roślinach nawet po wygotowaniu – zaśmiał się pod nosem, jednak poza kilkoma osobami w pierwszych ławkach nikt nie odpowiedział mu nawet zdawkowym uśmiechem.

Nagle chłopiec, który wcześniej dostał uwagę, uniósł rękę. Nauczyciel udzielił mu głosu.

– Znam tę historię! To mój wujek. Kilka miesięcy temu zmarł na raka! – nie wiedzieć czemu cała sala wybuchła śmiechem, łącznie z opowiadającym.

Naukowiec również się śmiał. Bawiła go sytuacja, że teraz to nieposłuszny zbieracz stał się pożywką dla grzybów, które przez tyle lat z namaszczeniem zbierał. I miał rację. Jego ciało zostało przetworzone w związki nieorganiczne i ponownie wykorzystane przez kolejne organizmy.

Historia furtki

Podczas przechadzki ulicami Małego Miasta niewiele obiektów przyciąga wzrok potencjalnego spacerowicza. Zabudowa jest jednostajna, a kolejne domy nie różnią się od siebie niczym szczególnym. Kreatywność

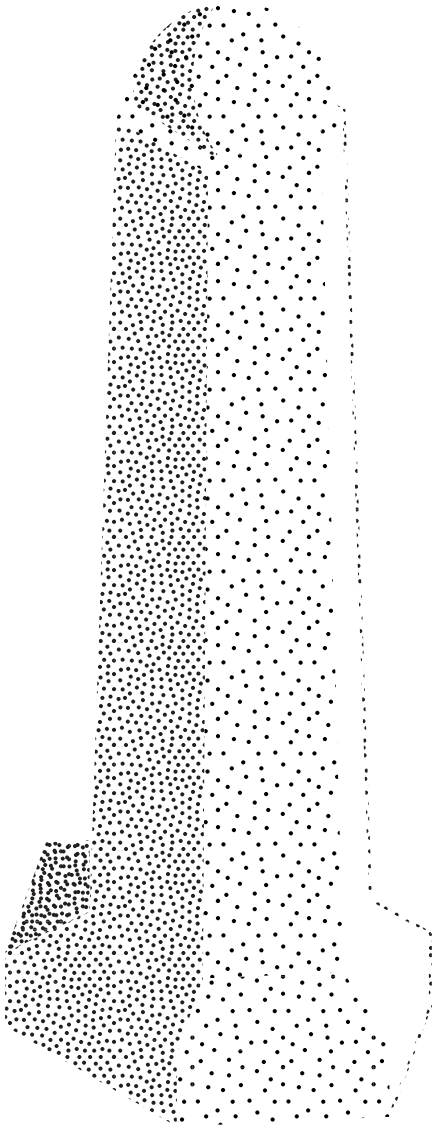

mieszkańców ujawnia się dopiero w ogrodzeniach okalających ich zadbane ogródki. Stalowe bramy i furtki prezentują wachlarz przepięknych i wysublimowanych wzorów. Promienie stalowych prętów tworzą koła, romby i prostokąty, a czasem bardziej finezyjne kształty przypominające dziecięce ćwiczenia ze szlaczkami. Ogrodzenia szybko rdzewieją, jednak dba się o nie, co kilka lat pokrywając je gęstą warstwą farby emaliowej o przeróżnych, często bardzo jaskrawych kolorach. Farba spływa po stalowych rurkach, nadając im miękki i obły wygląd. Furtki i bramy stanowią prawdziwą dumę swoich właścicieli.

Wojna przetoczyła się przez kraj swoim ciężkim cielskiem, gniotąc wszystko, co napotkała na swej drodze. Główny front ominął miasto, jednak przemarsz najpierw jednej, potem drugiej armii wystarczył, żeby zbezcześcić święty spokój mieszkańców, zniszczyć ulice i chodniki, spustoszyć gospodarstwa domowe oraz przylegające do nich ogródki.

Walczący pozostawili po sobie tony elementów niezbędnych do przeprowadzenia każdej wojny. Organizm zanieczyszczonego miasta powoli je wchłaniał, jednak mimo to po wielu latach łatwo było natrafić na wpół przetrawione karoserie wojskowych samochodów, kilometry drutów kolczastych i kabli elektrycznych, tysiące łusek po nabojach, a czasem nawet karabiny, z których zostały wystrzelone. Całą wielką masę żelaznych, powyginanych części niewiadomego przeznaczenia, którymi mieszkańcy uzupełniali wszelkie niedoskonałości swoich domostw. Kilka takich elementów wykorzystali dwaj bracia, ówcześni posiadacze sporej wielkości gospodarstwa mocno dotkniętego przez wojnę. Mieszkańcy pomagali sobie nawzajem i przyczynili się do odbudowy ich dobytku. Znany miejski restaurator podarował im nawet swoje konie, dzięki czemu mogli pracować i odzyskać swój przedwojenny status.

Do zakończenia rewitalizacji obejścia pozostały tylko formalności związane z drobną naprawą niedomykającej się, stalowej furtki. Bracia ufali swoim sąsiadom, jednak woleli uniknąć drwin w sytuacji, gdy jeden z koni postanowiłby wybrać wolność i ucieczkę z gospodarstwa właśnie przy pomocy tej części zepsutego ogrodzenia. W pewien sobotni poranek zebrali narzędzia oraz odpowiednie części i przystąpili do naprawy zepsutego elementu. Okazało się, że trzeba wymienić zawiasy i cały słupek, do którego były przykręcone. Bracia byli pragmatyczni i nigdy specjalnie nie dbali o formę, więc postanowili zastąpić go kawałkiem rury znalezionej na polu, gdzie wypasali swoje konie. Demontaż furtki postępował bardzo wolno. Bracia męczyli się z każdą przeszkodą przy naprawie poszczególnych części. Narzędzia wypadały im z rąk i złośliwie się tępiły. Poszerzenie dołka na nowy słupek również nie było łatwym zadaniem, bo ziemia była bardzo kamienista.

W końcu po dwóch godzinach ciężkich prób mogli przystąpić do właściwego działania. Z daleka widzieli zmierzającą w ich stronę żonę młodszego z nich. Wracała z targu, więc perspektywa drugiego śniadania zachęcała do przyśpieszenia działań naprawczych.

– Chodź tu, coś tam kupiła?! – krzyknęła teściowa w momencie, kiedy jej syn podniósł rurę i umieścił ją w uprzednio wykopanym otworze. Młodszy uniósł ciężki młot nad głowę. – Chcą, żeby im płacić markami – żaliła się synowa, kiedy brat męża z całym impetem upuścił młot na rurę znalezioną na polu.

Naprawę przerwała głucha eksplozja wywołująca spektakularny tuman kurzu. To wybuchła bomba, którą okazał się stalowy słupek. Części zniszczonej furtki świszczały obok głów mieszkańców gospodarstwa i wbijały się w mur oraz wszystko inne na swej drodze. Wraz z elementami furtki fruwały również ciała braci.

Starszy zginął na miejscu. Młodszy, z ciałem poprzebijanym prętami został przewieziony do szpitala.

– Ten człowiek byłby sto lat żył – oznajmił lekarz, przykrywając głowę pacjenta białym prześcieradłem. – Takie miał zdrowie.

Odłamek przebił jego serce. Szczątki starszego zostały przywiezione do kostnicy tego samego szpitala. Na cmentarzu zostali pochowani obok siebie.

Czujny

Jedna z posesji w Małym Mieście szczególnie się wyróżnia na tle pozostałych. Okala ją wysokie, trzymetrowe ogrodzenie z blachy falistej, zza którego nie widać już dawno nieistniejącego ogródka. Nie widać też większej części domu, którego obecność zdradza jedynie żółtawy dym wydobywający się z komina. Stalowe słupki stanowiące zwieńczenie płotu zostały oplecione dziesiątkami metrów drutu kolczastego, na którym w zimie siadają czarne ptaki. Po zardzewiałych ścianach spływa gęsta, ciemna i intensywnie pachnąca maź, stanowiąca mieszankę smoły z dziegciem.

Piesi omijają chodnik biegnący wzdłuż posesji. Wystarczy zbliżyć się do niej na kilka metrów, żeby usłyszeć przerażające, głuche uderzenia o ścianę, przeplatane z warczeniem i szczekaniem niewidocznego, agresywnego psa. Wejście na posesję jest skutecznie zakamuflowane.

Odróżnienie bramy od płotu jest możliwe jedynie w krótkiej chwili, kiedy zostaje uchylona. W wąskiej szparce pojawia się wtedy oko. Oko Czujnego.

Sąsiedzi rzadko go widują. Porusza się bardzo ostrożnie, trochę skulony, często spogląda przez ramię. Zazwyczaj bardzo się śpieszy, jest wyraźnie zdenerwowany. Jego ciało wyraża wielkie napięcie i gotowość do nieokreślonego działania. Nie jest niemiły i odpowiada na rzadkie pozdrowienia, chociaż zawsze z pewną dozą podejrzliwości. Ufa tylko sobie i swojemu psu. Razem kucają za uchylonym ogrodzeniem i w ciszy obserwują okolicę. Czasem Czujny szepcze mu do ucha bardzo poufne informacje. A pies uważnie słucha o tajemniczych obcych pojawiających się w okolicy. Zdarza się, że podszywają się pod mieszkańców i działają na ich szkodę, dlatego pies wie, że należy odstraszać każdą osobę zbliżającą się do posesji. Czujny tłumaczy mu, dlaczego oplótł płot drutem kolczastym i pokrył go czarną mazią. Jest dumny z tego pomysłu. Ciemna masa jest bardzo śliska i utrudnia wejście do środka. Dodatkowo zostawia bardzo tłuste i trudne do zmycia plamy, które zostają na skórze jeszcze przez kilka miesięcy od ubrudzenia. Potencjalny intruz zostałby naznaczony tak, jak naznaczone jest całe ciało Czujnego, pokryte niezmywalnymi plamami smoły. Śpi krótko snem płytkim i nerwowym, budzony każdym najdrobniejszym szelestem. Przy łóżku trzyma stalowy szpadel zawsze gotowy, by stawić czoła obcemu. Właściciel często wybiega z nim przed dom i razem z psem warczą, by odstraszyć niewidocznego intruza. Ich głosy odbijają się od blaszanego płotu.

Na posesji nie ma żadnej rzeczy, która rozpraszałaby dźwięk i jednocześnie pozwalałaby ukryć się obcemu. Cały świat Czujnego został przystosowany specjalnie do obrony przed intruzami. Jednak czasem zdarza się, że jest bardzo zmęczony swoją wartą. Pociesza się wtedy myślą, że dopóki pozostaje czujny, jego miasto będzie bezpieczne.

Siedzący

Ściany dwupiętrowego domu były popękane bardziej niż fronty innych budowli w mieście. Odpadający, jasnoszary tynk sprawiał wrażenie zrobionego z piasku. Wystarczyło jedno muśnięcie opuszkiem palca, by odpadł, rozbił się o ziemię i na zawsze zamienił w pył. Stracił swoją pierwotną formę, a kolejno odpadające cegły nadawały mu coraz bardziej nieregularny, organiczny kształt, przypominający kruchą skałę piaskowca.

Stał na małym wzniesieniu, przez co wydawał się wyższy niż sąsiadujące z nim budynki. Szyby zostały wybite i zaklejone kartonami i cienką dyktą. Numer posesji na stalowej tabliczce zasłaniała rdzawa plama spływająca po powierzchni tynku. Nad dwumetrowymi drzwiami pokrytymi resztką łuszczącej się, seledynowej farby wisiały szczątki rozbitego klosza, w którym od dawna nie świeciła żadna żarówka. Nierówne schodki, które do nich prowadziły, odlano z matowego lastryko, pokrytego siatką pęknięć, z których wyrastały chwasty. Siedzący zajmował jeden z nich w swoim niezmiennym stroju: rozciągniętym, wełnianym swetrze z wyszytymi geometrycznymi wzorami, wpuszczonym w jasne spodnie wyprasowane w kant oraz mocno wytartych, garniturowych butach ze sztucznej skóry. Nosił długie, przetłuszczone, szare włosy oraz gęstą brodę o tym samym kolorze, nadającej jego wychudłej twarzy wygląd boga ze słynnego malowidła Michała Anioła. Rzadko opuszczał schody. Przesiadywał na nich, paląc papierosy albo mieląc kawałek czerstwej bułki, którą jadł powoli i z namaszczeniem. Siedział i patrzył przed siebie – na zarośnięty ogródek przylegający do opuszczonego sklepu spożywczego lub dalej, w horyzontalną przestrzeń miasta. Jego wzrok był mętny, wydawał się rozpływać w sytuacjach, które obserwował.

Nie odpowiadał na powitania. Nikt nigdy nie słyszał jego głosu. Sąsiedzi się przyzwyczaili i mijali go z obojętnością, gnani ważnymi sprawami związanymi z obowiązkami domowymi, pracą lub nauką. W swoich szarych ubraniach przypominał cmentarną rzeźbę. Napawał dzieci strachem i lekkim obrzydzeniem, więc opowiadały sobie mroczne historie na jego temat.

– Podobno każdy, kto dotknie Pana, który siedzi na schodach, będzie musiał zająć jego miejsce i siedzieć na nich całą wieczność. – Zdarzało się, że odważniejsi chłopcy prowadzili zakłady o to, kto strzeli do niego żółtą kulką z karabinu kupionego na odpustowym straganie, ale Siedzący w żaden sposób nie reagował na zaczepki. Trwał w bezruchu i zamyśleniu, wpatrując się w przestrzeń. Kiedy zapadał zmierzch, bardzo powoli wstawał i wchodził do ciemnego wnętrza swojego domu, tylko po to, żeby wczesnym rankiem znowu pojawić się na schodach.

W jedną z dusznych, letnich niedziel niebo nad domem nabrało szaro-fioletowej barwy. Wydawało się ciężkie i naelektryzowane. Mocno kontrastowało z jasną szarością budowli. Nadciągała burza, więc mieszkańcy pośpiesznie sprzątali plastikowe krzesełka, talerzyki, grille oraz inne pozostałości po cotygodniowych imprezach w ogródkach. Kiedy na chodniki spadły pierwsze krople deszczu, siedzieli już wygodnie we wnętrzach swoich domów lub altanek z plandeki i całą rodziną oglądali jeden z popołudniowych filmów familijnych.

W przeciwieństwie do nich siedzący na schodach nie zamierzał wracać do wnętrza swojego domu. Nie przejmował się kroplami deszczu spływającymi po jego długich włosach. Po prostu ułożył łokcie na kolanach i w zamyśleniu oparł głowę na swoich dłoniach. Kuląc się, zastygł w bezruchu, a po jego swetrze płynęły gęste strugi deszczu. Widok Siedzącego nie dziwił żadnego przechodnia. Kolor jego ubrań zlewał się z kolorem miasta i trudno było go odróżnić od kawałka popękanego muru. Po dwóch tygodniach nikt nie zauważył, że schody nagle opustoszały. I że poprzedniej, deszczowej niedzieli Siedzący usiadł na nich na zawsze.

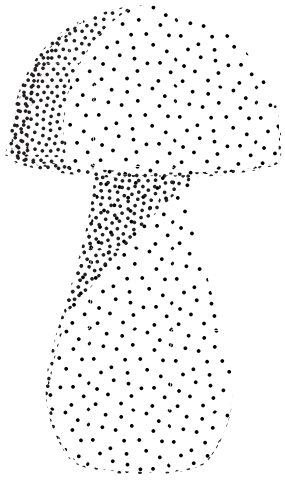

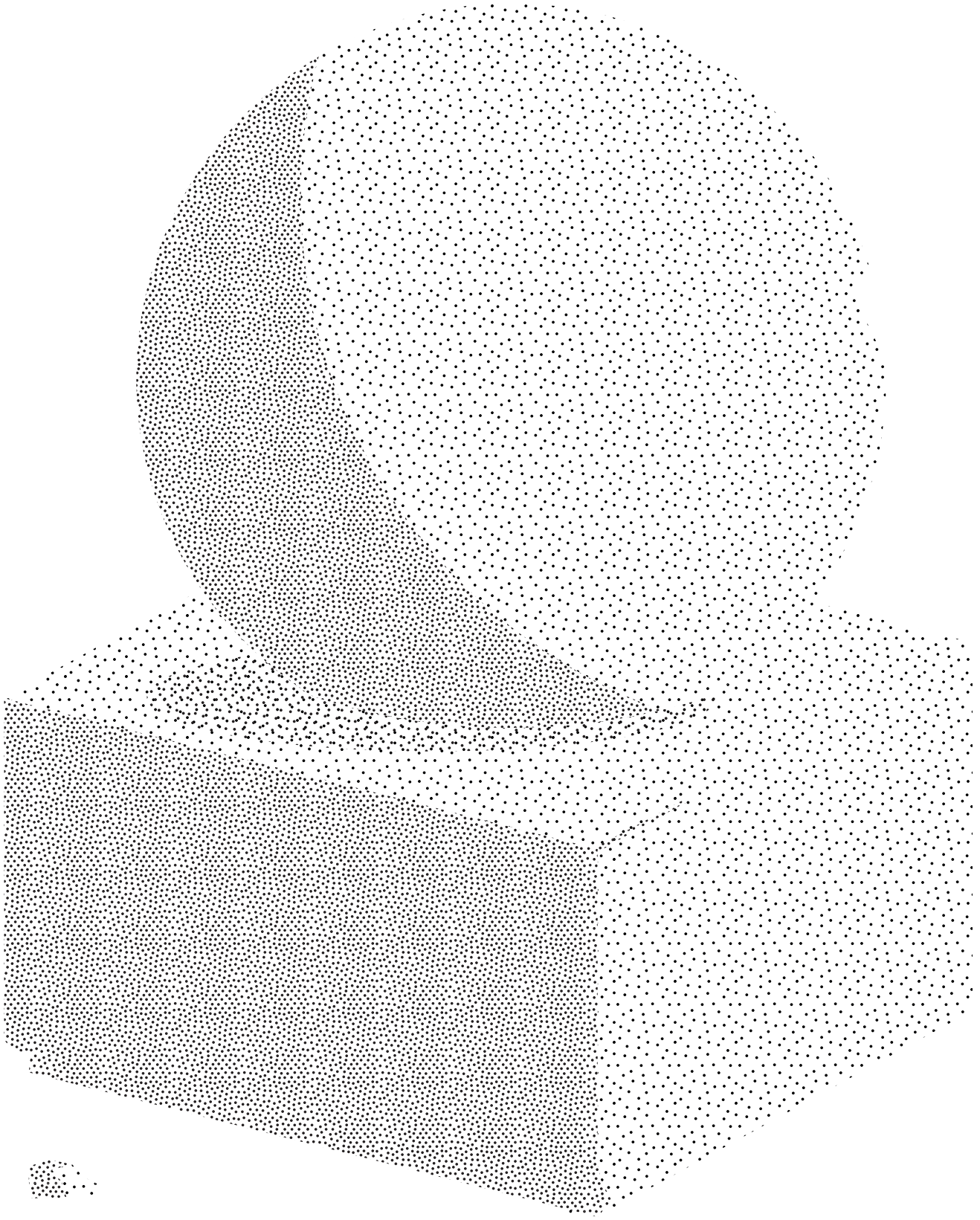

Zima

Następnej zimy nie będzie – powiedziała spokojnie Pani Elżbieta podczas chowania puchowej pościeli do starej szafy. A jednak zima nadeszła, choć nie dla Pani Elżbiety.

Koń

Pani W. jest bardzo stara. Przeżyła śmierć męża i wielu innych członków rodziny. Często patrzy na swoje starcze dłonie i nie potrafi zrozumieć, jak znalazła się w tym rozpadającym się, zniedołężniałym ciele.

Nie zwraca uwagi na współczesny świat, który ją otacza. Całymi dniami mętnym wzrokiem wpatruje się w blady ekran nowoczesnego telewizora, stojącego na stoliku nakrytym białą serwetką.

Telewizja stanowi pretekst do zanurzenia się w zupełnie innym świecie i w innych czasach, w których prowadzona za rękę przez swojego przystojnego męża tańczy na środku wielkiej sali, przystrojonej zasłonami ze sztucznego jedwabiu i bukietami plastikowych kwiatów. Powraca do momentu pierwszego pocałunku, ale też pierwszej nocy, kiedy mąż wrócił pijany. Nie gniewa się na niego. To robotnicy-pijacy upili go, inżyniera z dobrego, niemieckiego domu, nienawykłego do picia alkoholu, który zniszczy jego życie, a starość uczyni dziecinną i przytłaczającą.

Pani W. ponownie słyszy dźwięk butelek w rozlewni wina, jej pierwszego miejsca pracy. Wraz z koleżankami trochę pijana wraca do domu, gdzie matka już na progu uderza ją żeliwnym garnkiem. To kiedyś bolesne wydarzenie teraz wydaje się szczęśliwym wspomnieniem. Pani W. pamięta swój ślub i śluby wszystkich sąsiadek i znajomych. Pamięta, jak budowała dom i jakiwielki procent miała na swojej ówczesnej lokacie w banku. Pamięta narodziny swoich dzieci, a potem wnuków, które wraz z bólem fizycznym stanowią jej jedyny łącznik z mało liczącym się światem teraźniejszym.

Kiedy przychodzą w odwiedziny, stara się przywrócić czas przeszły najdokładniej, jak potrafi. Opowiada znudzonym wnukom o dniach, w których jej nogi nie odmawiały posłuszeństwa i kiedy chodziła pieszo na sam koniec Małego Miasta kraść kapustę u gospodarza, którego nikt oprócz niej już nie pamięta. Przywołuje całe rodowody przypominające biblijną Księgę Rodzaju, leżącą w kilku egzemplarzach na półkach przeszklonej szafy.

Opowiada wesołą historię swojego życia, nie oczekując żadnej odpowiedzi od swoich słuchaczy, którzy z szacunku starają się jak najrzadziej sprawdzać czas w swoich smartfonach. Jej opowieści w większości są radosne. Przedstawiają spokojne, proste i zwyczajne życie w Małym Mieście, któremu pozostanie wierna do końca swoich dni.

Niewiele pamięta ze strasznych czasów, kiedy musiała się bać, kryć i nasłuchiwać. Kiedy brakowało wody, jedzenia, a ludzie umierali częściej i szybciej niż zazwyczaj. Nie pamięta wybuchów rozświetlających horyzont ani ryku silników samolotów przelatujących nad domem jej matki. Nie przypomina sobie odgłosu wystrzałów w środku nocy i jak trzęsła się ze strachu ukryta w piwnicy. Już dawno wyparła z pamięci moment pożegnania z mężem wysłanym na front do obcego kraju. Z całego chaosu tamtych dni powraca do niej tylko jeden obraz.

Na środku skrzyżowania, pomiędzy budynkiem poczty a księgarnią, widziała pięknego, czarnego konia. Nie wiedziała, jak się tam znalazł. Leżał martwy, w zupełnej ciszy, nie niepokojony przez nikogo.

Aż do styczniowego poranka, kiedy przy jego ciele pojawił się brudny, nędznie odziany człowiek. Z bandaży na jego czole bardzo powoli sączyła się gęsta krew, ściekająca za kołnierz podziurawionego munduru. Widziała, jak ukląkł na jednym kolanie i przytulił martwe zwierzę. Krótką chwilę trwał w uścisku. Potem powoli wstał i chwiejnym krokiem odszedł. Wyczerpany umarł kilka ulic dalej. Przez całe życie zastanawiała się, dlaczego umarł i po co umarł. I skąd wziął się na środku tego skrzyżowania?

Taki piękny, czarny koń.

Jezioro Zignal

Lato w Małym Mieście wydaje się cieplejsze niż poza jego granicami. Wilgotne i gorące powietrze delikatnie zatrzymuje się na okalających je drzewach, nie wprawiając w ruch ani jednego liścia. Ptaki zmęczone palącym słońcem przestają latać i szukają schronienia w najmniejszym skrawku napotkanego cienia. Karoserie samochodów parzą dłonie właścicieli, a rozgrzane wnętrza zniechęcają do podjęcia jakichkolwiek prób ich użycia. Stoją więc nieruchome. Statyczną aurę przecina jedynie skwierczenie linii wysokiego napięcia, przypominające brzmienie roju szerszeni.

Życie miasta toczy się wolniej niż podczas innych pór roku. Dzieci odporne na wszelkie niesprzyjające warunki atmosferyczne wciskają kapsle w asfalt, który przestał pełnić swoją zwykłą funkcję i zmienił stan skupienia ze stałego na gęstą magmę, wolno spływającą wzdłuż ulicy. Nudząc się, przeczesują kolejne, nieodkryte rejony miasta.

Zdarza się, że pomiędzy chłopcami dochodzi do sprzeczek. Kłócą się, a czasem popychają nawzajem w ramach odwetu za splunięcie łupinką słonecznika na nowe spodnie, kupione przez mamę na targu, odbywającym się w każdą środę i sobotę miesiąca. W końcu trafiają na rozległą polanę, gdzie zwyczajowo budują dwie wrogie bazy i, dzieląc się na grupy, rozpoczynają bitwę na patyki, polegającą na zarzucaniu nimi obozu swoich przeciwników.

Po godzinie zabawy jeden z zawodników zostaje wyeliminowany przez gwóźdź, który rozdarł skórę jego prawej ręki. Biegnie do domu, a pozostali czterej chłopcy, lekko przestraszeni, podają sobie ręce na znak rozejmu. Żaden z nich nie przyzna się do winy, a zraniony kompan, który zostanie w domu drobiazgowo przesłuchany, solidarnie skłamie i wyzna, że przewrócił się na rowerze.

Zadowoleni z coraz ciekawszego obrotu spraw chłopcy zbierają koniki polne, które wkładają do plastikowej butelki po wodzie mineralnej. Kiedy owady zajmują połowę jej objętości, jeden z chłopców zakręca korek, wykonuje zamach i dynamicznie uderza nią w krawężnik kilkanaście razy.

– Żur! – Krzyczy grupa, kiedy rozczłonkowane ciała żyjątek oderwane od ich drgających korpusów spływają powoli po wnętrzu butelki. – Żur!

Kolejne uderzenia powodują, że resztki koników polnych zamieniają się w gęstą, brązową maź, wypełnioną grudkami ich zmiażdżonych, chitynowych ciał. Winni masakry oglądają substancję, łapią

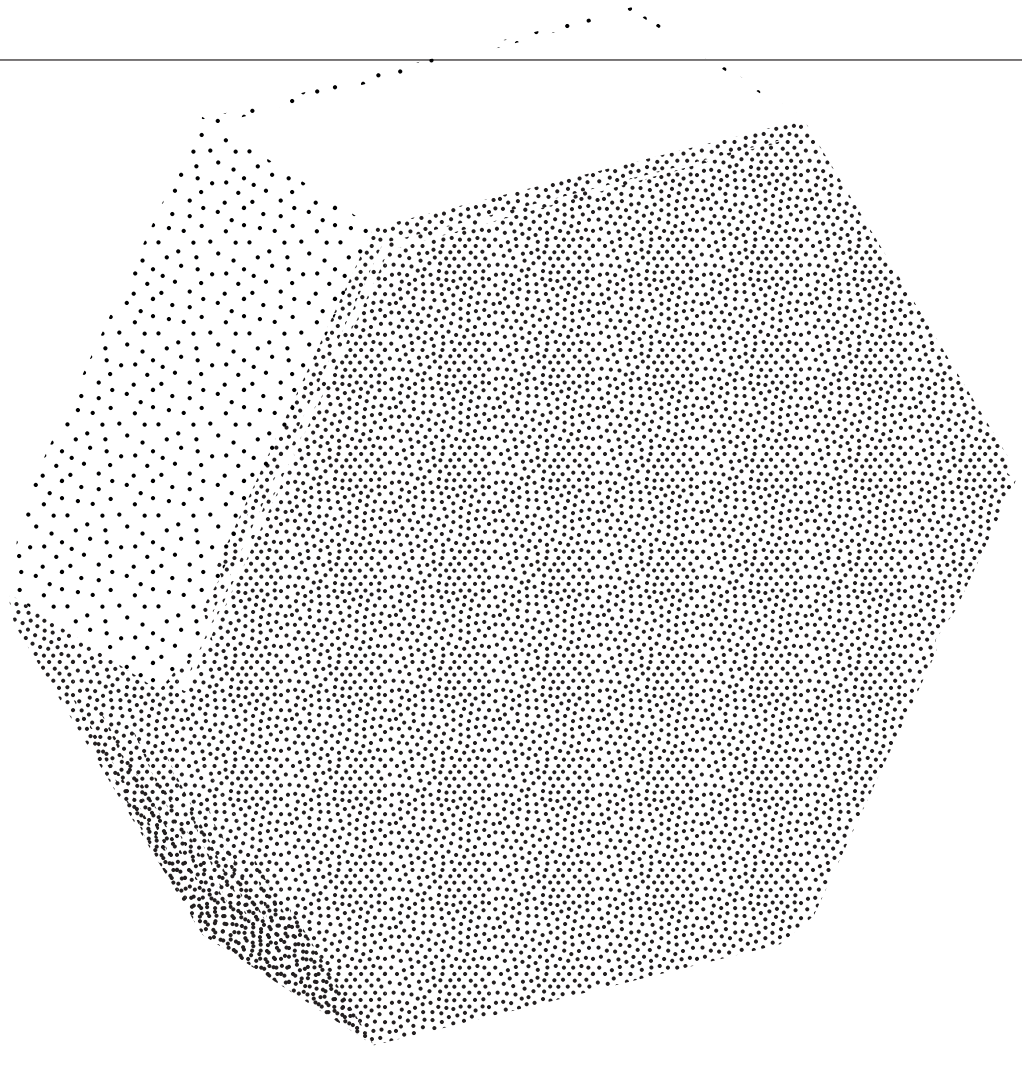

następnego konika i śmiejąc się, wrzucają go do środka. Owad próbuje się wydostać, wykonuje gwałtowne ruchy. Skacze i odbija się od ścianek butelki, żeby ostatecznie utopić się w pozostałościach po swoich krewnych. Chłopcy śmieją się i napawają swoim triumfem, chociaż cierpienie ostatniego żywego owada przyprawia jednego z nich o gęsią skórkę.

Zawartość butelki zostaje wylana na wycieraczkę pod drzwiami najbliższego domu, a chłopcy uciekają w stronę gęstego zagajnika kryjącego w sobie niezwykle niebezpieczny barszcz Sosnowskiego, na który jednak nie natrafiają. Pomiędzy drzewami znajdują małe jeziorko, o którym zapomnieli mieszkańcy Małego Miasta. Późnym popołudniem spowija je gęsta mgła utworzona z pary. Widoczna za nią nieruchoma tafla wody wydaje się świecić sztuczną, trupią bielą. W powietrzu unosi się przyjemny, chemiczny zapach czystości i proszku do prania. Woda wewnątrz jeziora jest ciepła i ma stałą, niezmienną temperaturę, przez co paruje niezależnie od pory roku. Jej świeżą dostawę zapewniają dwie rury, poprowadzone z na wpół działającej fabryki chemikaliów znajdującej się w okolicy zagajnika, na samej granicy Małego Miasta. Dno jeziora pozostaje niewidoczne, z powodu konsystencji wody, przypominającej gęsty płyn do płukania tkanin.

Widok jeziora przyciąga uwagę chłopców na krótką chwilę – sprawiają wrażenie zahipnotyzowanych swoim znaleziskiem. Powoli zbliżają się do brzegu i ostrożnie zanurzają w wodzie swoje brudne od przygód dłonie. Kiedy je wyjmują, te przyjemnie pachną, a pod ich paznokciami nie ma nawet śladu po brudzie.

Żałują, że nie mają strojów kąpielowych, jednak sprawa zostaje po chwili rozwiązana, kiedy jeden z kolegów znajduje wielki i gruby płat styropianu, który zostaje natychmiast zwodowany. Przypomina skrawek lodowej kry na powierzchni bardzo zimnego morza.

Pierwszy śmiałek odbija się bosymi stopami od brzegu i wskakuje na powierzchnię tworzywa, które kołysze się i nieprzyjemnie skrzypi, ale wytrzymuje ciężar swojego pasażera. Na prowizorycznej tratwie pozostaje sporo miejsca dla drobnych i lekkich chłopców i już po chwili wszyscy siedzą skuleni na jej środku, kołysząc się na wodzie. Jezioro nie jest duże, więc chłopcy chcą przedostać się na jego drugi brzeg, szybko wiosłując swoimi małymi dłońmi, które stają się coraz czystsze.

Na środku zbiornika dochodzi do kłótni i bójki, która powoduje, że kra odwraca się do góry nogami i wszyscy razem wpadają do wody. Zetknięcie z mleczną powierzchnią okazuje się dla chłopców przyjemniejsze, niż mogliby to sobie wyobrażać tuż przed wywrotką. Ciepła woda otula ich drobne postacie, a jej temperatura jest dokładnie taka sama, jak temperatura ich ciał. Kilkanaście centymetrów pod powierzchnią jeziora czują jedność z płynną substancją, a przez zamknięte powieki widzą nieskazitelną biel.

Kiedy wydostają się na brzeg, ich blade ciała świecą we mgle. Nie pamiętają, jak znaleźli się w okolicach jeziora. Nie pamiętają również

swoich kłótni, bójek i grzechów popełnionych w czasie wakacji. Zapomnieli o martwych konikach polnych. Czystymi rękoma zakładają ubrania na swoje czyste ciała i powolnym krokiem zmierzają z powrotem w stronę Małego Miasta.

Dni Małego Miasta

– Jesteśmy szczęśliwymi obywatelami Małego Miasta. Jesteśmy szczęśliwymi małomieszczanami. Powtórzcie.

– Jesteśmy szczęśliwymi obywatelami miasta. Je-ste-śmy szczę-śli--wy-mi ma-ło-miesz-cza-na-mi – powtarzają i parami wychodzą za swoją wychowawczynią z boiska szkolnego, zmierzając w stronę centrum miasta. Wszystkie dzieci mają żółto-czarne stroje i skrzydła zrobione z drutów obłożonych nylonowymi woreczkami. Piłeczki do ping-ponga imitują czółki. Dziewczynki noszą żółte spódniczki wykonane z grubej bibuły, chłopcy pocą się w czarnych getrach. Idą w pierwszym rzędzie i głośno krzyczą:

– Jesteśmy szczęśliwymi obywatelami Małego Miasta. Jesteśmy szczęśliwymi małomieszczanami! – niosą szeroki transparent z napisem wyciętym z zielonego brystolu: DNI MAŁEGO MIASTA.

Jak co roku kroczą po rozgrzanym, miękkim asfalcie. Mijają rondo obłożone chodnikiem pęczniejącego bruku i wchodzą na główną ulicę prowadzącą wprost pod miejski dom kultury. Po obu stronach jezdni stoi tłum rozweselonych obywateli miasta. Jedni trzymają waty cukrowe, inni podłużne worki kolorowych chrupek kukurydzianych. Niektórzy ukradkiem popijają piwo, ale strzegący porządku policjanci przymykają na to oko. Nie chcą nikogo niepokoić w tak ważnym dniu. Obserwujący robią zdjęcia komórkami i machają w stronę korowodu. Krzyczące dzieci, przebrane za biedronki, żabki, kosmitów oraz drzewka, zagłuszają kroczącą za nimi orkiestrę, wygrywającą marszową muzykę.

Dalej idą przedstawiciele kolejnych szkół niosący transparenty z ich nazwami i numerami. Mają zupełnie przypadkowe stroje. Rosły gimnazjalista przebrany za księdza przewraca się na ziemię przez swoją sutannę i upada pod nogi osiemnastowiecznego pirata z liceum. Sytuacja bardzo bawi grupkę rycerzy z plastikowymi przyłbicami. Maszerują nierówno, od początku próbując zaimponować księżniczkom w strojach uszytych z resztek sukienek komunijnych. W trakcie przemarszu jeden z gapiów próbuje zejść ze stromej skarpy. Jego ruchy przypominają chód kosmonauty kroczącego po księżycu. Jest mocno pijany, słania się. W ręce trzyma kilka baloników z helem. Chce je wręczyć dzieciom, ale w końcu zmęczony rezygnuje i bezwładnie opada na trawę.

Dalsza część korowodu składa się z przedstawicieli obydwu miejskich parafii. Księża mają niebieskie czapki z daszkiem, na nich słuchawki i mikrofony, do których śpiewają, przygrywając sobie radośnie na gitarach. Akompaniują im klaszczący ministranci potajemnie zakochani w podążających za nimi dziewczynach z kółka różańcowego. Za nimi bardzo powoli sunie biały samochód ciągnący platformę z piekarzami w wielkich czapach, których używają jedynie przy okazji świąt takich jak dni miasta. Rozdają małe bułeczki, więc stanowią sporą atrakcję dla ludzi, którzy przepychają się i prawie wpadają pod koła samochodów, żeby zdobyć jedną bądź dwie dla męża lub syna. Za piekarzami idzie człowiek przebrany za maskotkę sieci telefonii komórkowej. Z wielkiej pluszowej paszczy wystaje spocona głowa przebranego.

– Nie jest panu gorąco w tym stroju? – pyta przypadkowy przechodzień.

– Jest mi bardzo gorąco – odpowiada człowiek w stroju, któremu jest bardzo gorąco.

Dalej, z monstrualną drabiną na dachu jadą przedstawiciele lokalnej sieci internetowej. Nie są przebrani, nie uśmiechają się i nikt nie wie, po co właściwie jadą, ale mieszkańcy uprzejmie do nich machają. W końcu zapewniają im codzienną rozrywkę w postaci filmów akcji oglądanych online. Zasługują na owacje.

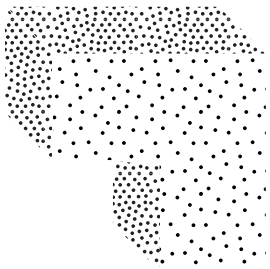

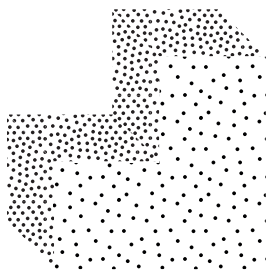

Korowód mija restaurację Królewski Kebab i sąsiadujący z nim salon naprawy telewizorów z kapliczką z Matką Boską wbudowaną w ścianę i skręca w stronę rynku oraz stojącego na nim supermarketu. Przedstawiciele sklepu rozdają maszerującym chorągiewki i baloniki, dzięki czemu korowód nabiera jeszcze radośniejszych barw. Za obowiązkowym wozem strażackim jedzie półciężarówka, na której siedzą żołnierze, cieszący się wielkim respektem, szczególnie wśród dorastających mieszkańców. W końcu to oni będą bronili miasta, kiedy zostanie napadnięte przez niebezpiecznych obcych. Wielki pojazd zatrzymuje się podczas wykonywania manewru skrętu. Kierowca próbuje nieporadnie cofać, zawracać, ponownie skręcać. Wśród kroczących rozlega się szmer niezadowolenia. Przeszkodą jest rower. Każdemu jest trochę wstyd go przestawić. W końcu bohaterski żołnierz wyskakuje z samochodu i z groźną miną odprowadza go na drugą stronę ulicy. Rozbrzmiewają oklaski, a samochód jedzie dalej, aż do placu obok centrum kultury.

Na rozległym terenie ustawiono wysoką scenę, z której dobiega głośna muzyka, nieudolnie grana przez miejscowy zespół metalowy. Mieszkańców nie interesuje muzyka, ale reagują entuzjastycznie, rozochoceni piwem, kiełbasą z musztardą i grochówką. Dźwięk ze sceny zderza się z dźwiękiem głośnej muzyki techno i krzykami ludzi wirujących na wątpliwej jakości zardzewiałych karuzelach, które zostały sprowadzone specjalnie na tę okazję. Koncerty przerywają występy lokalnych komików. Zawsze towarzyszą im głośne brawa i salwy śmiechu.

W końcu na scenie pojawia się wyczekiwany burmistrz Małego Miasta. Większość mieszkańców widzi go po raz pierwszy. Wygłasza długą przemowę o radości, jaka towarzyszy mu w służbie na rzecz mieszkańców miasta, którzy z przyzwyczajenia wybierali go przez kilka kadencji. Cieszy go dobra pogoda oraz spokojny przebieg święta. Dziękuje sponsorom, po czym wypuszcza w niebo białego gołębia, który wzlatuje ponad scenę tylko po to, żeby usiąść na najbliższym drzewie. Rozlegają się wiwaty, a burmistrz ustępuje miejsca głównej gwieździe wieczoru – artyście, który wyjechał za granicę, gdzie nie odniósł żadnego sukcesu, ale z radością powrócił wprost w objęcia swojego Małego Miasta. Muzyk dziękuje mieszkańcom za ciepłe przyjęcie i nieproszony wykonuje bis utworu z tekstem o Małym Mieście, przeplatanym bardzo długą, rzewną i patriotyczną solówką na gitarze.

Po zakończeniu koncertu na scenę wchodzi konferansjer, który zapowiada pokaz sztucznych ogni, po czym żegna się z mieszkańcami i z radością zapowiada kolejne Dni Małego Miasta, które jak zwykle odbędą się za rok. Zaczyna się wielkie odliczanie. Mieszkańcy kierują głowy w stronę nocnego nieba i wykrzykują liczby za konferansjerem. ... trzy, dwa, jeden i przez minutę niebo rozbłyska kolorowymi wybuchami. Zebrani trzymają się za ręce.

Niektórzy stoją przytuleni i wzruszeni pięknem całej sytuacji związanej z życiem w Małym Mieście. Pokaz trwa krótką chwilę i jest widoczny jedynie w obrębie granic miejscowości. Kiedy się kończy, mieszkańcy wracają do swoich domów, depcząc stosy plastikowych kubków.

Bilet

Niepokonani samurajowie, zabójcze ryby krojone w plasterki cienkie jak bibuła i kwitnące kwiaty wiśni. Pomyślał, że musi się tam znaleźć jak najszybciej. Wstał sprzed telewizora, pośpiesznie ubrał kurtkę przeciwdeszczową i biegiem ruszył na dworzec kolejowy w centrum Małego Miasta. Poprosił o bilet do Tokio. Ale biletów nie było. Nie było też nieczynnej od wielu lat kasy biletowej, którą wyburzono kilka dni wcześniej. Wbił wzrok w betonowe kafle dworca, włożył ręce do kieszeni i powoli ruszył z powrotem do domu.

Pożegnanie z Małym Miastem

Indianie Guarani uważają, że ziemia, drzewa i rośliny są już tak zmęczone, że nie przyjmą więcej trupów, więc ulegnie zniszczeniu.

Mircea Eliade

Zdarza się, że beton kruszeje bardziej niż zazwyczaj. Domy tracą swój kształt, a dziury po oknach przypominają oczodoły bardzo starego, zmęczonego człowieka. Wieża kościoła nie świeci już neonowymi kolorami, a wszechobecne bicie dzwonów zastąpiła cisza przerywana chrzęstem osuwających się elementów konstrukcyjnych.

Most łączący dwie umowne dzielnice pęka i z głuchym hukiem roztrzaskuje się o ulicę, wyginając stalowe barierki. Zewsząd wystają kikuty lamp, dzielących smutny los sąsiadujących z nimi pni połamanych drzew. Schody tracą stopnie, ograniczając dostęp do poszczególnych budowli i instytucji, które i tak straciły wcześniej przypisane funkcje. Z chodników znikają kostki brukowe, wybite zęby miasta, w którym stopniowo postępuje próchnica, niszcząca wszystkie jego elementy.

Ostatni mieszkańcy obserwują tę sytuację zza stalowych krat małych okienek piwnic, przesiąkniętych zapachem śmieci palonych w piecach centralnych. Dym wydobywający się z kominów na znak żałoby przybiera barwę głębokiej czerni, która pokrywa każdy pozostały kolor miasta i kontrastuje z nim, nadając mu wygląd kadru wyjętego ze starego filmu wojennego. Granice stają się nieszczelne, a uschnięte drzewa odkrywają istnienie świata zewnętrznego.

Jest dobrze widoczny szczególnie w środku nocy, gdy na horyzoncie pojawia się zorza świateł metropolii, w których teraz przebywają emigranci Małego Miasta, wygnani przez jego postępującą entropię.

Na tle szerokich i niegościnnych ulic przypominają cienie. Są zagubieni i oślepieni światłami drogich samochodów i jasnych witryn sklepowych. Nie mogą uwierzyć, że zieleń, z którą zazwyczaj walczyli, została całkowicie okiełznana, zamknięta za płotami małych parków. Przesiadują na drewnianych ławkach, a ich szare twarze nie wyrażają żadnych uczuć. Myśli wybiegają daleko poza sztywno wytyczone granice metropolii – płyną środkiem brudnych rzek, wypływających ze studzienek kanalizacyjnych w różnych częściach ich rodzinnego Małego Miasta. Wraz z jego krwią spływają w stronę rynku, który powoli się zapada, pochłaniając każdą materię znajdującą się w pobliżu.

W sam środek otchłani wpadają kostki brukowe i chodniki, a w końcu i cała żylasta struktura ulic i domów do nich przylegających. Znikają małe firmy niegdyś zapewniające pracę mieszkańcom. Potem sklepy, targ i piekarnie, które wcześniej dostarczały im towarów pierwszej potrzeby oraz dwa kościoły dające poczucie bezpieczeństwa i oparcia, niezbędne do odprawiania rytuałów i przeżywania świąt. Otchłań zaczyna wirować, walą się jej brzegi, a wraz z nimi ostatnie elementy struktury: kilka witaczy miejskich, kolorowe billboardy reklamowe oraz tablice z nazwami ulic. Miesza wszystkie szczątki miasta, rozdrabnia struktury budowli i łączy je z ciałami mieszkańców, tworząc jednolitą masę gruzu i ciał.

Kiedy całe miasto zapada się w jej wnętrzu, ona wydaje głuchy pomruk i wyrzuca z siebie gęstą chmurę szarego pyłu, a wraz z nią grad popękanych elementów konstrukcyjnych i betonowych ławek, spadających i wbijających się w ziemię jak pociski. Wszędzie fruwają kawałki styropianowych płatów kiedyś ocieplających domy i lekkie obudowy zgniecionych, nigdy niedziałających komputerów miejskich. Wielkie szare cmentarzysko. Na środku zgliszcz ktoś wbija rdzewiejącą tablicę z przypiętą kartką, włożoną w plastikową koszulkę do segregatora.

Pożegnanie Małego Miasta.

Po długim czasie na gruzach pojawiają się pierwsze maszyny. Spychacze wyrównują teren i kruszą gruzowisko na drobne cząstki. Prace są dokańczane przez wielkie rozdrabniarki, wypluwające kawałki grysu i betonowych odłamków, które zostają zmieszane z cementem i piaskiem, tworząc podwaliny pod sieć dróg oraz chodników. Walce wyrównują teren gotowy na przyjęcie odpowiednich instalacji wodno-kanalizacyjnych, które swoją siecią zaczynają powoli oplatać kolejne tereny.

Ze szczytu wysokich, stalowych żurawi widać rozległy plac budowy. Żółto-czarna mieszanina maszyn i ludzi tłoczących się przy budowie wygląda jak świetnie zorganizowany rój pszczół próbujący uporządkować zupełnie chaotyczny ul, w którym panuje jedynie intuicyjna logika. Dookoła placu i w jego wnętrzu zostają zasadzone jarzębiny, brzózki i inne rodzaje drzew oraz roślin, pośród których najważniejsze są te tworzące żywopłoty.

W kolejnych miesiącach powstają pierwsze brylaste formy domów, niskich bloków oraz instytucji przeznaczenia publicznego. Zostają oplecione wstęgami chodników, na których brzegach ustawiane są słupy elektryczne, połączone zagmatwaną strukturą bzyczących kabli. Na sklepach i skrzyżowaniach wyrastają reklamy warsztatów i wszelkiego rodzaju produktów konsumpcyjnych. W miarę wycofywania się kolejnych maszyn i robotników, z wnętrz kominów nieśmiało zaczyna wydobywać się szary, ledwo widoczny dym.

Na ulicach panuje umiarkowany ruch samochodowy. Piesi poruszają się powoli. Nikt się szczególnie nie śpieszy. Starsi panowie spokojnie czytają gazety na ławeczkach, podczas gdy ich żony dyskutują o dyskontowych przecenach warzyw i owoców. Dzieci bawią się w bazy, obrzucając się kamieniami, a nastolatki palą papierosy, kryjąc się wśród garaży z tyłu blokowiska. W środku dnia w każdym miejscu betonowej struktury słychać donośne bicie dzwonów. Kiedy zapada noc, ciszę wypełnia jednostajny szum. Głos odrodzonego miasta.

Mit małego miasta jest pracą Macieja Cholewy stanowiącą integralną część jego wystawy w CSW Kronika w Bytomiu.

teksty: Maciej Cholewa
projekt graficzny: Marcin Wysocki
korekta: Paulina Bieniek

Maciej Cholewa
Mit małego miasta
28 stycznia–18 marca 2017
kurator: Stanisław Ruksza

ISBN 978–83–61853–09–1

CSW KRONIKA
Rynek 26
41-902 Bytom
www.kronika.org.pl

kronika